Rok II. Luty 1899 r. Nr. 2.



Powściągliwość i Praca

Organ Towarzystwa

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC.

Prenumerata roczna wynosi:

W Austro-Węgrzech . . 1·20 kor. | W Ameryce . . . . . ½ dolara.
W Niemczech . . . . 1·40 mrk. | W Rosyi . . . . . . ½ rubla.
W innych krajach 2 franki.

Dla Członków Towarzystwa „Powściągliwość i Praca“ za darmo.

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:
JÓZEF MACHAŁA
kierownik Zakładu wychowawczego w Miejscu Piastowem.

Wychowanie w Anglii a u nas.

„Ruch Katolicki“ umieszcza w swoim odcinku bardzo cenną pracę pana Adama Hr. Krasińskiego pod tytułem: „Wyższość Anglosassonów“, z której najważniejszą część pozwolimy sobie zużytkować.

„Gdyby kto potrafił kiedykolwiek twierdzić, że „w jednej formułce zdoła skreślić kwestyę socyalną, „mógłby z zupełną słusznością powiedzieć, że tą „treścią jest sposób wychowania“.

„Angielska szkoła wzięła sobie za zadanie wzmo-„cnić samodzielność i uzbroić młodzieńców do ciężkiej „walki życiowej, zaprawiając ich do niej od początku“.

U nas zaś powszechnie wychowanie urządzone według skostniałych teoryi z góry powziętych nie rozeznaje ani właściwych wymagań chwili, ani też liczy się z różnicą usposobień, z przyrodzoną indywidualną zdolnością i siłami. Wyjątek stanowią tylko nasi żydzi, którzy dzieci swoje wychowują od samego początku w kierunku praktycznym, i stąd górują nad nami.

„Anglik pyta się „praktycznie“, jakich świat dzi-„siejszy potrzebuje ludzi? Światem zaś dla niego ani „ciasny dom, ani najbliższa parafia, ale przedewszyst-„kiem te strony, gdzie łatwiej może wywalczyć sobie „byt, dojść do mienia pracą zdobytego, a przez pracę „i mienie do znaczenia. Światem tym przedewszyst-„kiem są kolonie. Gdyby zamiast mieszkańca Wiel-„kiej Brytanii ktokolwiek inny postawił sobie podobne „pytanie, powinienby je rozwiązać w ten sam sposób; „warunki bowiem życia zmieniają się z dziwną szyb-„kością wszędzie, i wszędzie konieczność rodzi się „nieubłagana szukania nowych dróg i nowych stron „dla pracy przygniecionej nadmierną konkurencyą „i skrępowanej zbyt ciasnymi szrankami. Iść w świat „szeroki, albo pozostać w kraju, ale wyrobić się na „człowieka inicyatywy i wytrwałej pracy — oto cel, „do którego potrzeba stosować wychowanie młodzieży. „Tak myśli pierwszy lepszy Francuz, tak kapitalista, „tak też sądzą najwybitniejsze umysły, mężowie stanu „i filozofowie. John Stuart Mill powiada wyraźnie: „Wolno twierdzić z doświadczenia, że najlepszem „przedsiębiorstwem, w które można wnieść kapitały „starej i bogatej ziemi, jest kolonizacya“. A lord „Kautsford w przemowie do młodzieży zachęca do „walki i przezwyciężenia trudów temi słowy: „Mu-„sicie być twardzi dla siebie samych, będziecie bo-„wiem ze złym losem walczyli. Zbiory wam mogą „pomarnieć, bydło wasze poginie, ale nie dajcie się „klęską taką powalić. Podnieście czoła jako dzielni „ludzie, walczcie, a naprawicie poniesione straty“.

„Społeczeństwo, które tak jasno widzi drogi przy-„szłości i otwarcie walkę z losem podejmuje, musi „górować nad innemi i wzrastać w coraz to większą „potęgę. Przypatrzmy się, jak w tem społeczeństwie „młodzież przygotowuje się do życia. Są tam dwie „szkoły, z których jedna ma za cel specyalny kształcić „pionierów kolonizacyi, a druga jest wzorowym za-„kładem wychowawczym, prawdziwą szkołą pracy „i nauki, a przedewszystkiem — samodzielności. „Pierwsza z tych instytucyj ma ramy zupełnie od-

„powiednie swemu celowi. Mieści się na dużym folwarku nad rzeką i tuż blisko morskiego brzegu. „Na okół głównego gmachu stoją zabudowania gospodarskie, różne warsztaty i urządzenia do budowy „i reperacyi łodzi. W oborze, stajni, chlewach pełno „bydła ras przednich — przykłady żywe, na których „młodzież uczy się zastosowania zwierzęcia domowego do potrzeb gospodarskich i tak ważnego w koloniach chowu; zapoznaje się z naturą tego zwierzęcia, uczy się pielęgnować je i leczyć. Szkoła „posiada kilkadziesiąt morgów pola i lasu; uprawa „roli i leśnictwo wchodzą zarazem do programu jako „ważne przedmioty, a oprócz nich ogrodnictwo, „pszczelnictwo, mleczarstwo, słowem wszelkie gałęzie „gospodarstwa. Obok tego programu równorzędnie „zajmować się muszą przyszli prawdziwi chorążowie „cywilizacyi pracą w warsztatach, gdzie uczą się „wykonywać roboty stolarskie, kowalskie, ciesielskie, „siodlarskie, kołodziejskie i t. p.“

„W innym znowu zakresie zajmują się inżynieryą „w polu, na wodzie zaś żeglugą, gdzie na łodziach „z żaglem i wiosłem obeznani, odbywają dłuższe „wycieczki wzdłuż brzegów. Wychowańcy zakładu „muszą wiedzieć, jak zbudować w danym razie most „pontonowy, wywiercić studnię, postawić piec wapienny, zrobić nasyp, kanał lub szluzę, w razie wypadku, jak sobie radzić w chorobie, jakich środków „na pierwszą chwilę użyć. Wszyscy uczą się i zaprawiają do konnej jazdy, do pływania i t. d. Szkoła „ta obznajmia tedy z agronomią i leśnictwem, z inżynieryą i żeglugą, z rzemiosłem i medycyną, daje „niezmiernie wiele wiadomości z największym pożytkiem, a wszystko **w sposób prosty na przykładach w bezpośredniem zetknięciu się z rzeczywistością.** Wykładów teoretycznych nie ma więcej „nad dwie godziny dziennie. Oto zastosowana nauka „do życia. Co więcej może uderza i podziwem napełnia to to, że pomiędzy wychowańcami szkoły „większości nie stanowią hołysze, skazani na emigracyę z braku środków do życia, ale synowie wybitnych i zamożnych mieszczan i młodzież z pierwszych rodzin arystokracyi angielskiej. Nic dziwnego „że w kraju, gdzie farmer zasługą własną zdobyć „może tytuł para, synowie lordów nie wstydzą się „iść na farmerów“.

Również zakład wychowawczy w Miejscu Piastowem ma kierunek praktyczny, ucząc młodzież poprostu na przykładach rolnictwa, pszczelnictwa, uprawy wina, chowu bydła, rzemiosł różnego rodzaju z każdym rokiem dzięki poparciu światłego społeczeństwa rozszerzając zakres działania, a oraz uczy i niezbędnych przedmiotów szkolnych i muzyki. Są młodzieńcy u nas, którzy umieją po kilka rzemiosł i grać na kilku instrumentach a prawie wszyscy biorą udział w gospodarstwie rolnem, które jest podwaliną dobrobytu i prawdziwej cywilizacyi, jak wykazaliśmy w poprzednim numerze. Młodzież wygląda rzeźko i wesoło. W tej chwili niema żadnego młodzieńca obłożnie chorego. Korzystamy z każdej okoliczności i wyzyskujemy położenie miejscowe o ile się tylko da, aby młodzież jaknajwięcej obznajomić z życiem rzeczywistem i wychować **na ludzi czynu a jednak cichych nie wstydzących się pracy ręcznej i na małem przestających.** Powściągliwość i Praca naszem hasłem rzeczywiście bez obłudy. Są tu i dzieci o świetnych imionach, wszakże przeważnie dzieci ubogie i opuszczone. I te polecam ponownie łaskawym względom Szanownych Rodaków — zwłaszcza, że nie posiadamy żadnych funduszów ani pensyj, a mamy dosyć przeciwności. Musimy bowiem pierwsze lody łamać.

Z przemówień wieczornych.

Dzisiaj mówić będę o cnocie **cichości.** Jest to cnota, która powściąga w nas poruszenia gniewu wedle sądu zdrowego rozumu. Tej cnoty szczególniej nauczał Pan Jezus, gdy mówił: „Uczcie się odemnie, żem jest **cichy** i pokornego serca“. A najbardziej ją zalecił, gdy wyrzekł: „Błogosławieni **cisi**, albowiem oni posiędą ziemię“. Musi tedy być wielką ta cnota, kiedy ją Zbawiciel liczy do rzędu błogosławieństw. Przez nią szczególniej stawamy się naśladowcami Pana Jezusa, który, gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył; gdy Go do krzyża niewinnie przybito, a on się modlił uniewinniając winowajców, że nie wiedzą co czynią.

Cichość przeciwna jest krzykowi, zgiełkowi i wrzawie. Święty i wielki patryarcha Józef, odprawiając bracię swą z Egiptu do domu ojca swego, to tylko dał im upomnienie: „Nie gniewajcie się w drodze“. I ja toż samo wam powiadam. Bo ten nędzny żywot jest jedynie drogą do żywota szczęśliwego we wieczności. Nie kłóćmyż się między sobą w tej drodze, ani się gniewajmy. Idźmy społem z towarzyszami i z bracią naszą cicho, spokojnie i zgodnie. Nieraz zdaje się nam, że mamy obowiązek ostro wystąpić i zgromić napastnika słowy szorstkiemi; tymczasem jest to złudzenie. Nie rozum światły wtedy do nas przemawia, ale nasza ślepa namiętność. Kto ulega gniewowi, to jakby powierzał się rumakowi rozhukanemu, który nie chce się kierować cuglami. Św. Franciszek Salezy radzi, abyśmy poruszenia gniewu powściągali przy każdej sposobności. On twierdzi, że lepiej będzie, gdy o tobie ludzie mówić będą, iż się nigdy nie unosisz gniewem, aniżeli miano by powie-

dzieć, iż czasami się gniewasz ze słusznych powodów. Albowiem gdy raz gniew wnijdzie do serca naszego, to potem trudno go z niego wygnać. Stąd wskazanem jest abyśmy na samym wstępie drzwi przed nim zamknęli. I rozum sam mówi: jeśliśmy ponieśli jakiś uszczerbek i stratę na majątku lub sławie, to pocóż jeszcze z własnego popędu tracić spokój miły. Nieraz ludzie wyrządzą ci jaką zniewagę, to dlaczego masz się na nich gniewać i tym sposobem tracić jeszcze spokój wewnętrzny? Wszak utrata spokoju jest większem nieszczęściem, aniżeli utrata sławy lub majątku. Kto zatem otrzymawszy jaką zniewagę, się złości, sam się karze niepotrzebnie. A sam niepokój wewnętrzny naraża nas na wielką szkodę, bo jak mawiał św. Alojzy Gonzaga, djabeł zwykle w mętnej wodzie łowi dusze ludzkie.

Jeśli więc bliźni jaki wyrządzi wam krzywdę, albo ze złością na was napadnie, mówcie do niego z największą łagodnością. Mówi bowiem polskie przysłowie: „Łagodna mowa, pewna namowa“. A jeślibyście wtedy czuli w duszy waszej wielkie zaniepokojenie, to raczej zachowajcie milczenie, aby namiętność wasza nie uniosła was do jakiego nierozważnego czynu lub słowa. Czekajcie, aż się umysł wasz uspokoi: a wtedy ujrzycie jasno, iż to do czego was gniew popychał, było niedorzecznością. Namiętność bowiem jest jakby zasłoną czarną, która nam zasłania przedmiot i nie daje rozeznać fałszu od prawdy a niesprawiedliwości od słuszności.

Jeśliby zaś bliźni, który was był obraził, poznawszy swój błąd przyszedł was przeprosić, z wami się pojednać, to pamiętajcie sobie dobrze, abyście nań krzywo nie patrzyli, ani też abyście mu z niechęcią nie odpowiadali, gdyż tak postępując byście wykroczyli przeciw miłości, moglibyście tym sposobem bliźniego pogrążyć w większą złość, popchnąć go do nienawiści i zemsty — i dalibyście zgorszenie światu, nie odpuszczając winowajcy waszemu. Owszem okażcie mu serce pełne miłości i zapewnijcie, że go szanujecie i kochacie, i proście o wzajemne przebaczenie winy, którą mogliście łatwo także popełnić względem niego. A jeślibyście wy sami przez krewkość ludzką uchybili komu z bliźnich, wtedy bez odwłoki starajcie się zbliżyć do niego i usunąć nieporozumienie, choćby was to miało kosztować wiele. Bo jak najlepszem lekarstwem przeciw kłamstwu jest wnet je odwołać, skoro się w niem spostrzeżemy; tak najskuteczniejszem lekarstwem przeciw gniewowi, jest wnet go naprawić przeciwnym mu uczynkiem słodyczy i cichości. Bo jak to mówią: na świeże rany łatwiejsze lekarstwo. A nadto gdy jesteś w spokojności i nie masz żadnego powodu do gniewu, zbieraj wielki zapas słodyczy i dobrotliwości, każde słowo wymawiając i każdą swą sprawę wielką czy małą, czyniąc w najsłodszy sposób, na jaki tylko zdobyć się możesz. Albowiem nie dość jest mieć słodkie słowo na zewnątrz w obcowaniu z bliźnim, trzeba mieć nadto słodycz w piersiach, to jest w głębi duszy.

Polska znowu przedmurzem chrześciaństwa.

Mało ludzi na świecie wolnych od przesądów. Przesądy bowiem przechodzą od pokoleń do pokoleń i tak się wbijają w umysł, że nieraz nawet ludzie z wysokiem wykształceniem pozbyć się ich nie mogą, np. że handel lub rzemiosło ubliża szlachectwu; że obraza honoru krwią tylko może być zmyta; że są ludzie, których wzrok sprowadza chorobę lub nieszczęście; że do wysokiego wykształcenia potrzebna koniecznie znajomość łaciny i greki, i że bez nich społeczeństwo musiałoby chylić się do upadku i t. p. Niedawno dopiero pozbyliśmy się dzięki Mickiewiczowi jednego przesądu, który jak zmora gniótł nasze społeczeństwo. Albowiem przez wieki całe zdawało się ludziom najuczeńszym, że w poezyi muszą być bogowie, boginie z całym taborem niedorzeczności greckich i rzymskich. Mickiewicz te stare rupiecie wyrzucił, a mimo to poezya nie tylko nic nie straciła, ale właśnie zyskała w sposób niewymowny i zakwitła u nas świetnie, jak nigdy przedtem. Pokrewną zmorą tłoczącą narody oświecone jest uczenie greki i łaciny w szkołach średnich. Na tem cuchnącem śmiecisku pogańskiem każą szukać panowie kierujący oświatą dzieciom naszym prawdy, dobra i piękna, gdy przed oczyma naszemi leżą nieprzebrane skarby nowożytnej i rodzimej mądrości rzetelnej i szczęścia prawdziwego.

Rozbierzmy przedmiot dokładnie. Co mówią panowie wspomnieni o powodach męczenia młodzieży martwymi językami?

Powiadają, że na martwych językach młodzież najlepiej nauczy się języka własnego; że na pomnikach literatury greckiej i łacińskiej pozna najlepiej ducha starożytności; i że na językach tych wyćwiczy sobie pamięć — to mówią głośno; — a wreszcie mówią pocichu pomiędzy sobą, że młodzież studyując autorów pogańskich **„przejmie“** się duchem naturalizmu i wyzwoli się z więzów religii nadprzyrodzonej.

Co do pierwszej rzekomej korzyści odpowiadam, iż rozum i doświadczenie uczy nas, że najlepiej poznajemy własną mowę z czytania klasyków rodzimych, a owszem uczenie się języków obcych naraża nas na zatracenie poczucia toku i zwrotów języka rodzimego, albowiem umysł nasz nie jest nieskończony. Tysiączne wyrazy i formy języków obcych

rugują powoli z pamięci naszej brzmienia i formy mowy swojskiej. Jest pewnikiem ustalonym w fizyologii, iż prawie nikt nie może równocześnie doskonale władać dwoma językami. A zatem nauka obcych języków a zwłaszcza języków martwych nie tylko nie pomaga do znajomości języka rodzimego, ale jeszcze przeszkadza. Kto musi dla handlu, dla polityki i dla innych potrzeb uczyć się obcych języków, niech się ich uczy; ale z pewnością przez to nie wydoskonali się we własnym języku, owszem poniesie niejeden uszczerbek. A choćby niekiedy przez porównanie z obcemi mowami swojego języka cokolwiek skorzystał, to za to z innej strony więcej straci. Nie stanie skóra za wyprawę.

Co do drugiej rzekomej korzyści odpowiadam, że ducha starożytności poznaje młodzież dostatecznie z historyi powszechnej, zwłaszcza że ten duch starożytny nie jest szczególny, jak niżej zobaczymy.

Co do trzeciej korzyści odpowiadam, iż pamięć młodzieży aż nadto się wyćwiczy, gdy codziennie będzie się uczyła literatury własnej, historyi powszechnej i naturalnej, geografii, matematyki i nauk przyrodniczych. Główna część w człowieku jest nie pamięć i wyobrażenia, ale rozum i wola. Te tedy w szczególniejszy sposób należy ćwiczyć i doskonalić zwłaszcza w naszym kraju, gdzie widoczny brak należytego użycia rozumu i woli, bo daliśmy się dobrowolnie ludziom nieumiejącym ani jednego języka należycie wysadzić z domów miejskich, z posiadania znacznej części ziemi, a z handlu zupełnie. Na cóż tedy przydały nam się języki obce i słynienie z pamięci nadzwyczajnej. Cóż nam pomogła znajomość starożytności pogańskiej? Owszem, namacalnie nam zaszkodziła.

A teraz jeszcze pomówmy o „przejęciu się“ duchem starożytności, ktore ukrycie a jednak rzeczywiście jest zamierzone przez tych, co mają monopol nauczania. Co to jest ten duch starożytności? — To duch niewiary i rozpusty ulegający popędom zepsutej natury, to jest samolubstwu, zmysłowości i prawu pięści; to duch przewagi niższej części naszego jestestwa nad wyższą; to duch niewoli, zaborów i rozboju narodów; to duch ucisku wolności i religii; to duch Sulli, Nerona i dzisiejszych ciemiężycieli ludzkości nieznający miłosierdzia i przebaczenia; to duch niszczyciel, który pogrążył w gruzy wielkie Ateny, spalił Rzym i zrównał z ziemią Jerozolimę; który zapełnił okrąg ziemski trwogą, chciwością i rozpaczą; który popchnął do zwątpienia i samobójstwa nietylko krocie uciśnionych niewolników i proletaryuszów, ale mnóstwo mężów znakomitych nauką, rodem i stanowiskiem, jako to: Charondasa, Likurga, Diogenesa, Zenona, Arystarcha, Demostenesa, Isokratesa, Temistoklesa, Kleomenesa, Lukrecyusza, Attyka, Petroniusza, Lukana, Scypiona, Katona, Brutusa, Kassiusza, Marka Antonina, Nerona, Ottona, Nerwę i wielu innych; to duch, który zabiwszy kilkanaście milionów bezbronnych chrześcian sam się zabił i żyć przestał z własnej winy.

On wskrzeszony przez słabej wiary chrześcian sprowadził odstępstwo Lutra, przewrót wieku przeszłego; on też jest ojcem dzisiejszych zamieszań na świecie. Czyż rozum i sumienie na to pozwala, aby nim młodzież w zaraniu życia miała się przejmować? Zwłaszcza że znamy ducha lepszego, ducha Chrystusowego, ducha pokoju, miłości i sprawiedliwości, który uczy nas, że jest tylko jeden Bóg, żeśmy dziećmi jednego ojca, że mamy duszę nieśmiertelną, żeśmy wszyscy odkupieni krwią Zbawiciela, że mamy jednakowe prawa oraz obowiązki; że każda narodowość ma prawo do zachowania swoich odrębnych właściwości; że wszystkie mają żyć ze sobą w zgodzie i wzajemnie się wspierać i uzupełniać; a nikt nie powinien krzywdzić drugiego, bo jeden drugiego potrzebuje: potrzebuje bogacz ubogiego, a ubogi znowu bogatego; wszyscyśmy równouprawnieni i równi przed Bogiem, bo Bóg źródło i stróż prawa jest wspólnym ojcem naszym. Oto duch, który nie niszczy i rozbija, ale kojarzy, buduje i sprowadza prawdziwe szczęście doczesne i wieczne.

Zważywszy to wszystko uznać musimy, iż łaciny i greki nie powinno się uczyć w szkołach średnich z autorów starożytnych. Ludy zaś romańskie mogą kazać uczyć łaciny już w szkołach średnich tyle, ile my uczymy się języka starosłowiańskiego: a znowu grecy mogą zaprowadzić język starogrecki w swoich gimnazyach również w tej mierze, jak my używamy języka starosłowiańskiego.

Uczenie zatem łaciny i greki na podstawie autorów pogańskich w szkołach jako przedmiotów pierwszorzędnych jest przesądem ślepym i wielce zgubnym. Ten przesąd przyczynił się głównie w naszych czasach do sprowadzenia wszystkich skutków starożytnego pogaństwa, jakimi są: osłabienie wiary i obyczajów, ucisk słabych, deptanie praw przyrodzonych pojedyńczych ludzi i całych narodów, morderstwa osób najwyżej położonych, chciwość nienasycona, chęć używania bez granic, liczne samobójstwa i zbrodnie iście pogańskie. Jako zasady te zastosowane w starożytności sprowadziły rozsypanie się w gruzy potężnej Niniwy, wielkiego Babilonu, zniknięcie Egiptu, upadek Grecyi i Rzymu, tak samo i dzisiaj sprowadzą one niechybnie pożogę, ruiny i rozlew krwi w mierze dotąd niewidzianej. Z tego śmieciska głównie wszystka zaraza już od kilku wieków rozchodzi się po świecie. Musimy tedy tego przesądu co rychlej się pozbyć. Powiecie: cóż na to powiedzą inne narody? — Owszem, gdy zobaczą że nam dobrze bez niego, będą nas

naśladowali i zaczną się uczyć naszego pięknego a bogatego języka, aby poznać naszą wielką literaturę, która aż nadto sobie wystarcza. A tym sposobem bądziemy znowu przedmurzem chrześciaństwa, a nawet większem, aniżeli przedtem kiedykolwiek.

Słowo prawdy o Ameryce.

X. Ł.

(Ciąg dalszy).

Pasażerów przybyłych z krajów dotkniętych niegdyś jakąś zarazą, jak n. p. cholerą, czarną ospą, dżumą i t. p. wysyłają natychmiast do osobnego szpitala, umyślnie na ten cel wybudowanego na niedostępnych, skalistych wyspach. Przyjeżdżających znów z okolic gdzie panowała mniej zaraźliwa choroba, dajmy na to, tyfus plamisty, lokują też w osobnym gmachu z tą tylko różnicą, iż stoi on już nie na jakichś wyspach, lecz na stałym lądzie. Istnieje jeszcze inny szpital, w którym umieszczają przyjezdnych, chorych na wszelkie inne choroby, nie bacząc na to, czy po wyzdrowieniu wpuszczą ich do kraju, czy nie. Jednego z mych towarzyszów, nauczyciela, którego misya luterska wysłała do Ameryki dla nawracania niewiernych i ludzi żyjących w rozkoszach i zbytkach, zatrzymali w wyżej wspomnianym lazarecie, gdyż sławetny misyonarz tak namiętnie był przywiązany do ukochanej wódeczki, tak wielką mu ona rozkosz sprawiała, że nigdy nie miał siły rozłączać się z nią, na czem najwięcej cierpiał jego czerwony nos, ponieważ w czasie całej podróży co chwila zabierał bardzo niemiłą dla swego właściciela znajomość z podłogą okrętową; zdarzało się to tak często, że w końcu cały organ powonienia niczem się nie różnił od posiekanego buraka. Bardzo wiele sprawiał nam uciechy ów wysłaniec misyi luterskiej, podczas monotonnej podróży morskiej; szczególniej gdy chciał okazać próbkę swych przyszłych kazań. Stawał on wtedy na stołku z dwoma sterczącemi butelkami w kieszeniach marynarki w postawie imponującej, co tak licowało z jego buraczkowym nosem, żeśmy się aż za boki brali a żydzi polscy, których mnóstwo znajdowało się na okręcie zaraz go pytali co porabia jego nasse — tak wymawiali niemieckie nase. — Tak się nam podobało to przekręcone wymawianie, iż w końcu nasz pan nauczyciel otrzymał przydomek „nasse“. Otóż pan Nasse upominany przez majtków, że nie przystoi luterskiemu misyonarzowi przebierać miary w piciu, uroczyście się wyrzekał wódki i wyrzucał z kieszeni butelki w morze — próżne rozumie się i to tylko na to, aby ich miejsce zajęły świeże, napełnione nektarem a nabyte za pieniądze udzielone mu na cele misyjne.

Zresztą o przygodach misyonarza Nasse możnaby całe tomy napisać; tu tylko to jeszcze nadmienię, że w pierwszem zaraz półroczu po przybyciu na terytoryum amerykańskie był aż cztery razy organistą przy rozmaitych luterskich kościołach, ale nigdzie nie wytrzymał dłużej nad dwa tygodnie. Jakem się dowiedział dopiero w sześć tygodni wypuszczono go ze szpitala na wolność. Lecz powróćmy do naszych urzędników, którzy tak się troszczyli o zdrowie pasażerów. Inni a tych jest o wiele więcej aniżeli pierwszych, niezmiernie się nami interesują; musimy w długim szeregu chodzić od jednego do drugiego, powiedzieć swe imię i nazwisko, wiek, pochodzenie i zawód, a w końcu oznajmić im ile mamy przy sobie pieniędzy a nawet dokładnie je w ich oczach przeliczyć. Gdy się okaże, że masz dużo, ale to bardzo dużo pieniędzy, możesz uniknąć wszelkich dalszych inkwizycyj, lecz biada ci, jeżeli masz mało mamony, a co gorsza, gdy twa kieszeń choruje na galapujące suchoty.

Do Stanów Zjednoczonych jest otwarta bez pieniędzy droga tylko mającym w nich bardzo bliskich krewnych: rodziców, dzieci znajdujących się w dobrych stosunkach, a także żonie do męża lub odwrotnie. Jeśli jednakże myślisz, że ci co pomoże odwołanie się na jakiegoś tam dziadunia, albo na daleko spokrewnionego wujaszka lub ciotunię, których może wcale nie znasz, to się bardzo mylisz: amerykanin o wszystkiem przekonuje się osobiście, a na całą kopę choćby świadectw piśmiennych ze starego świata nie da tyle co na jedno słowo obywatela amerykańskiego. Ta ostrożność w niektórych razach staje się bardzo śmieszną, choć świadczy o wielkiem zaufaniu jakie mają Amerykanie względem siebie; niekiedy jest jednakowoż bardzo usprawiedliwioną. Przybywa n. p. młode małżeństwo do Ameryki; papiery ich, choćby może u nas wystarczyły, nie zadawalniają amerykańskiego urzędnika; ten więc oddaje tę sprawę swemu koledze, który ją bardzo gruntownie bada, a gdy dowody nie są zupełnie jasne, to albo sam daje owej parze bez zwłoki ślub cywilny, albo jeżeli tego wymagają woła księdza na ślub kościelny. Gdyby ci ludzie odwołując się na swe papiery, nie chcieli się poddać prawu amerykańskiemu musieliby natychmiast wracać do domu.

Łatwo sobie można przedstawić, iż niejeden, aby wciągnąć swych przyjaciół do kraju, chwyta się najróżnorodniejszych niekiedy środków. I tak przedstawiają się jako blizcy krewni, ludzie, co nigdy w życiu nie widzieli się ani o sobie nie słyszeli. Naturalnie, że często takie matactwa muszą się wydać. Przybyła razu pewnego do New-Yorku młoda żydówka z Kró-

lestwa, która tam bliższych krewnych nie miała. Radził jej ktoś w podróży, aby w Ellis Island powiedziała, że jej mąż po nią przyjdzie; postanowiła tej rady usłuchać. Znajomi jej z łatwością znaleźli starego żyda, który chciał iść na wyspę i tam rolę męża przed sądem odgrywać. Na nieszczęście zapomniano mu powiedzieć, że jego mniemana żona jest jeszcze bardzo młodą, on zaś wcale tego nie przypuszczał. To też zjadł nie mało wstydu, bo gdy między zgromadzonemi żydówkami miał wyszukać swą żonę, skoczył do starej kobiety chcąc się z nią witać. Łatwo się domyślić, jaka wesołość powstała między urzędnikami — żyda nie bardzo grzecznie wyrzucono, a żydówka musiała wracać napowrót do kraju.

Podobne zdarzenia prawie codziennie mają miejsce. Ci, po których nikt nie przybył, albo których z innych przyczyn nie wypuszczono, muszą się stawić przed osobnym sądem, składającym się z pięciu osób mających wydać ostateczny wyrok względem takich pasażerów, z którymi dotąd nie wiedziano co zrobić. Silnych młodzieńców, widocznie mogących podołać ciężkiej pracy i prawie wszystkich rzemieślników zwykle wpuszczają do kraju, choćby nawet kwoty przepisanej 30 dolarów nie mieli. Chorowitych, słabych ludzi lub kalek nie przyjmują. Tak samo odsyłają robotników już najętych przez jakiegoś pana n. p. fabrykanta, farmera; bo przez takich jak się sąd wyraża, Amerykanie, którym się zresztą ani nie śni ciężko pracować, ponoszą stratę. Odsyłają także ludzi nie znających się na ręcznej pracy: a więc kupczyk, nauczyciel, student, adwokat, pisarz i oficer z trudnością łamią się z temi przeszkodami; podobnież i tacy co nic nie umieją, choćby byli synami hrabiów lub baronów. Sąd zabrania wstępu do Ameryki niejednemu, któremu nad kolebką tego nie śpiewano, iżby się miał w takiem położeniu znajdować. Adwokat albo lekarz władający dobrze językiem angielskim może sobie z czasem wyrobić stanowisko, to też takich osób sąd zaraz nie odsyła. Z wyżej pomienionych jednakże przyjmuje tylko tego, za którym wstawi się obywatel amerykański, mający tam posiadłość albo znaczniejszą posadę i to pod warunkiem, że się zobowiąże przez cały rok starać o wszelkie potrzeby swego klienta.

Jak potrzebną i godną pochwały jest ta ostrożność widać z tego, iż t. zw. trampy t. j. włóczęgi, żebraki, którzy po całej Ameryce się tłuką i których zwłaszcza w wielkich miastach, przedewszystkiem w Now-Yorku jest mnóstwo, po większej części pochodzą z wyższych stanów. Jaka zaś ich liczba musi się znajdować w samym New-Yorku, można poznać z następującego: jeden z mych przyjaciół obiecał pokazać mi osobliwe jakieś widowisko. Zaciekawiony coby to było, poszedłem z nim na miasto koło północy. Przeszedłszy kilka ulic zobaczyłem niezmiernie długi ciągnący się przez kilka ulic szereg trampów, wyczekujących na otwarcie wielkiej restauracyi, której właściciel, milioner, wydawał co noc każdemu z tych żebraków za darmo pół funta kiełbasy z chlebem. Inny milioner piekarz według testamentu ojca wydaje każdemu proszącemu bochenek niewielki chleba. I takich dobroczynnych bogaczów w New-Yorku jest spora liczba, a każdy ma koło swego sklepu co noc, przynajmniej sześciuset żebraków. Manipulacye te odbywają się w nocy, aby szeregi trampów nie tamowały ruchu ulicznego.

Mnie trzymano w Ellis Island pięć dni, gdyż mój przyjaciel mieszkający w zachodniej części Stanów Zjednoczonych musiał za mnie ręczyć. Prosiłem go o to nie telegraficznie lecz listownie, w ten sposób bowiem wszystko mogłem szczegółowo skreślić; i tak czas się zwlekał.

Nie żałuję jednakże, żem się zatrzymał na owej wyspie. Bo chociaż urzędnicy tamtejsi są grubijanami pierwszej klasy i z emigrantami gorzej się obchodzą aniżeli z bydłem, to z drugiej strony na Ellis Island nie braknie rozrywek. Możesz tam zobaczyć ludzi ze wszystkich krajów całego świata. Obok murzyna czarnego jak węgiel, kręci się niespokojnie chińczyk z długim warkoczem w takiej sukni, jakie u nas noszą niewiasty. Tu są Japończycy, Turcy z żółtemi lub jak miedź czerwonemi twarzami; tam chłopi dźwigający w największe nawet upały ciężkie korzuchy, obok których kurczy się biedak mający na sobie kilka jakichś strzępków, nie zakrywających dostatecznie nagości członków, które były może kiedyś rodzajem surduta: (my byśmy zmarźli w takiem „ubraniu“). Patrzę na prawo: panicz ubrany podług najnowszej mody w krótki paltocik, z pod którego wygląda zgrabnie przykrojony żakiecik; spoglądam na lewo: żyd polski z pejsami w długim chałacie z brudnem zawiniątkiem pod pachą; akurat typ Szymanowskiego Srula z Lubartowa. Koło kawalera z podkręconym wąsikiem i główką ufryzowaną niby do fotografii, rozsiada się szeroko gruby parobek z ogorzałą twarzą, który mył się może przed miesiącem. Między czarnemi i czerwonemi niewiastami, noszącemi swe paki na głowach, a dzieci na plecach, kryje się delikatna blada europejka; przyczem tyle różnych języków, że i przy budowie wieży babilońskiej nie mogło być większego zamieszania.

I z tymi ludźmi jeden tłómacz po większej części potrafi się rozmówić. Sam byłem świadkiem, jak ów tłómacz w czternastu rozmaitych językach przesłuchiwał ludzi i biegle z nimi rozmawiał. (D. n.)

List księdza J. W....a z Brazylii.

(Dokończenie).

W sąsiedztwie mojem o 2 godziny jazdy konnej w stronie południowo-zachodniej leży miasteczko São Matheus, ale to ani za lichą wioskę nie obstoi, coś około 30 bud z desek. Jest tam niejaki Wojciech Rogulski, który ma „szakier“, pole z lasem około 180.000 m.□ z budynkiem drewnianym postawionym z desek i cegielnią. Otóż całą tą posiadłość oddał aktem notaryalnym X. Biskupowi w Kurytybie, aby on sprowadził zakonników. Jest to przeznaczone dla Salezyanów; tuż pod Kurytybą jedna pani ma oddać ogromne obszary pola Salezyanom, żeby tylko się zjawili w Paranie. W São Matheus przeszło rok nie mają księdza, wzdychają za nim, jęczą, błagają. Osiedli są już 8 lat. Rogulski ma batatów około 180 korcy, innych korzeni tak zwanej mandzioki także nie mało. Biskup czeka, Rogulski czeka, koloniści czekają, ja czekam, bo źle być samemu człowiekowi, wszystko przygotowane, wszystko czeka. Teraz jest sam czas, bo oczekiwanie w punkcie kulminacyjnym, później może być zapóźno. Proszę zatem, choćby z uszczerbkiem własnego zakładu, ze względu na bonum publicum przysłać 2 księży Salezyanów z Miejsca Piastowego. Polaków w São Matheus na Wielkanoc było 500 do Komunii św., w Agua Branca 340, w Riodos Patos 300, w Cantagallo 40, w S. Barbara 350. To znajduje się w mojej opiece. Parafii polskich tu nie ma, tylko brazylijskie; te wyżej wymienione kolonie, należą do parafii Palmeira; w Palmeira jest proboszcz zwany vigario (obecnie w Ponta Grossa), a ja jestem tylko capellão, a zatem Polacy mają tylko kapelanie, niby filie coop. expo.; połowę dochodów od chrztów, ślubów, trzeba odesłać do vigario lecz tylko od Brazylian; dochody od Polaków należą do kapelana.

Polacy tutejsi pochodzą z Warszawy, od Warszawy i z okolicy Częstochowy, dlatego na wzmiankę o Częstochowie wybuchają w kościele głośnem szlochaniem. Niedostatki ich, to brak oświaty, kto umie czytać to uczył się u sąsiada, szkoły nie widział, dlatego dużo tu czarownic, każda stara kobieta jest „ciotą“ (czarownicą), nawet małe dzieci tak się przezywają: ty „cioto“. Gdy kto zachoruje to musi dostać krwi cioty, wtedy nie potrzeba ani doktora, ani apteki. Najgorzej wyszły na Brazylii stare baby.

Dalszy niedostatek jest to brak miłości bliźniego; jest to lud spędzony ze wszech stron, to też żrą się, że tak powiem, jak psy pozganiane. Jedni są z pod Moskala, drudzy z pod Prusaka. Pierwsi nikogo za Polaka nie uznają tylko siebie, a z pod Prusaka nazywają Prusakami, co znaczy tyle co Niemcami, ludźmi innej narodowości i religii. Na Thomaz Coelho Polacy postawili sobie kościół murowany dla siebie, a Prusacy drugi murowany dla siebie i to bardzo blizko. Polacy mieli księdza, Prusacy tak skarżyli czy co robili, że ksiądz został usunięty. Dostali Prusacy; znowu Polacy podobno tak manewrowali, że Prusacy stracili księdza; teraz mają Polacy, lecz słyszałem że ma wyjechać, czeka tylko, aby kurs pieniędzy się polepszył. Polak z Galicyi, nie jest u nich Polakiem. Przyjechałem tutaj, pytają mnie z której jestem gubernii? „Ja nie z gubernii, lecz z Galicyi“. Bardzo im się to nie podobało, oniby chcieli księdza z gubernii.

Do nienawiści przyczyniają się nie mało stosunki brazylijskie co do chowu bydła. Bydlę tu nie ma stajni, nie ma pastucha, chodzi dzień i noc, latem i zimą (zimy tutaj niema) samopas, bez wszelkiego dozoru po wszystkich szakrach. Kto chce zbierać żyto lub kukurydzę musi ogrodzić sztachetami, lub siedzieć przy niem we dnie i w nocy; zwykle dzieci pilnują w dzień a ojciec w nocy i dlatego dzieci nie chodzą do szkoły, bo pasą bydło nie swoje, lecz cudze. Gdy skarżą do sądu, pyta sędzia: „Masz szakier ogrodzony?“ — Nie! — „Bądź zdrów, idź ogródź i promysto, jak nie ogrodzone, to drugi ma prawo paść“. Jeżeli ogrodzone a świnie zrobią szkodę, to wolno zastrzelić i zanieść właścicielowi. Strzelają to prawda, lecz sami jedzą. Inni znowu strzelają i do bydła rogatego nie kulką, nie śrótem, lecz solą, bo ta nie zabije, ale też takie bydlę po tygodniu żyć nie będzie. Takie kłótnie, takie niezgody, że jedni na drugich nawet napadają, niektórzy na noc wychodzą w las, bo się boją napadu. Piękne stosunki!

Potrzeba bardzo szkoły, oświaty. Dzieci są na pół dzikie. U mnie dwa lata dzieci chodzą do szkoły, a gdy o co zapytam, wstanie, zacznie się uśmiechać, zakryje chustką twarz, odwróci się do ściany, jeżeli co umie to tak po cichu mruczy, że nic nie słychać. Ach! trzeba więcej niż świętej cierpliwości. Człowiek o mało nie zginie z bólu wewnętrznego, kiedy nawet do tego nie można przyzwyczaić, aby dzieci prosto patrzyły, nie odwracały się do ściany. Żadna kara nie skutkuje. Ukarzesz, płacze; prosisz, błagasz, śmieje się. A przecież uczyć trzeba, jakaś szkoła być musi. Uczę codzień religii i nakazuję posyłać, bo to przygotowanie do spowiedzi; na naukę pisania i czytania nie posyłają; po religii więc jest czytanie i pisanie. Do spowiedzi jednak nie puści się, aż nauczy się czytać i pisać, bo inaczej nie przyjdą.

Zaradzić temu można przez posłanie Salezyanów.

Odpowiedzi Redakcyi.

Wnemu Ks. M. S. Wszelkie wyroby w zakres koszykarstwa wchodzące w naszym Zakładzie wyrabiamy, lecz o tyle tylko, o ile nam na to czas pozwoli. Tak samo rzecz się ma z konfesyonałami, które robi się tylko podług podanych poprzednio wzorów. Cena od 15 do 30 złr. i wyżej.

Czytelnikowi „Powśc. i Pracy“ z D. Z listów bezimiennych żadnego użytku robić nie możemy.

Ofiary na cele naszego Towarzystwa złożyli:

Ks. Leon Kwiatkowski 5 złr., ks. Harmata 20 złr., p. Marya Grabara 43 mrk., p. Eleonora Szurmińska 2 mrk., ksiądz prob. Andrzej Gonet 5 złr., Siostra Marya Leonarda Felicyanka 1 złr., ks. Tomasz Gliwa 23 złr., p. Helena Mikiewicz 1 złr., ks. L. Kisielewicz 23 mrk., pan Jan Buchta 50 mrk., Wydział Rady powiatowej w Brzozowie 25 złr., ks. Paweł Smoczeński 5 złr., p. A. J. Daczyńska 3 złr., p. Leon Turek 1 złr., p. Kwaśniakowa 50 ct., pan Zawada ofiarował cielę, ks. pr. J. Franczak 3 złr., Magistrat m. Krosna 25 złr., ks. Wojciech Mach 5 złr., p. Jan Paździora 3 złr., p. Franciszek Scheja 3 mrk., Konwent OO. Dominikanów w Podkamieniu 20 złr., ks. prob. Jan Suwada 3 złr., p. Jan Kwiatkowski 3 złr., Tow. Polsko-Katolickie w Geesthacht 24 mrk., Magistrat m. Rzeszowa 25 złr., p. Adam Bratek 5 mrk., p. Augustyn Dyjas 2 mrk., p. Mikołaj Sietnicki 2 złr., p. Katarzyna Ratajowa 2 złr., p. Tekla Węgrychowska 2 złr., ks. prob. Władysław Ciechanowicz 3·20 złr., p. Tatar 100 złr., ks. J. Maciejczyk 2 złr., Gmina Płazy 5 złr., p. Jadwiga Mańkowska 5 mrk., p. Waligórski 3 mrk., p. Hubieka 3 złr., ks. prob. Guzkiewicz 1·50 złr., Klasztor PP. Wizytek w Krakowie 1·20 złr., p. Walerya Bójniewiczowa 5 złr., Wydział Rady pow. w Krośnie (stypendyum półroczne) 105 złr., p. Al. Mańkowski 5 złr., p. Tomaszowa Jakiełowa 1 złr., p. K. Parylak 1 złr., ks. J. Nikodemowicz 1 złr., ks. Dziekan E. Winnicki 10 Mszy św., ks. prob. Toł. 10 mrk., p. A. Czarnowski 5 mrk., ks. prob. Ignacy Szw. 20 mrk., p. Andrzej Matusz 10 złr., ks. Rosicki 10 Mszy św., ks. prof. J. Mal. z P. 6 mrk., p. E. K. Warchałowski 1 złr., ks. prob. Jakób Drzewicki 2·30 złr., ks., Kan. J. Stachyrak 8·95 złr., p. J. Nowak 2 złr., ks. Muchowicz 5 złr., ks. Z. Pawłowski 3 złr. ks. prob. Wład. Frydl. 1·20 złr., p. Feliks Wallis 10 mrk., p. Leon Malinowski 3 złr., ks. prałat A. Momidłowski 10 mszy św., p. Anna Kalabis 5 mrk., ks. dziekan Winnicki 10 mszy św., p. Tomaszowa Jakiełowa 1 złr., p. Karolina Parylak 2 złr.. p. Jan Kloz 60 ct., p. M. Białobrzeski 7 złr., p. Anna Paździora 3 złr., p· Jan Stolarz 60 ct. ks. Franciszek Kamski 5 złr., Parafia Ropa 4 złr., ks. Ziel. z P. 50 mrk. p. Wincenty Janusz 90 ct., ks. Józef Wala 10 złr., ks. J. Sydow 5 złr., ks. prob. M. Sos korzec żyta, p. I. Danisch 3 mrk., p. M. Ferda 2 mrk., p. Wawro 1·50 mrk., p. Suchy 1·50 mrk., pan M. Kurda 50 fen. p. J. Kozieł 1·80 mrk., p. I. Neglischer 70 fen., p. K. Kowalik 2 mrk., p. A. Jendrolik 2 mrk., p. Proksa 2 mrk., p. Schmiegel 1·40 mrk. ks. prob. Głębocki 5 Mszy św., ks. Dziekan Wieszchowski 20 Mszy św.

P. T. Członkom i Dobrodziejom Towarzystwa naszego niech Pan Jezus zapłaci stokrotnie w tem życiu i drugiem za złożone ofiary.

OGŁOSZENIA.

Nakładem ks. Bronisława Markiewicza w Miejscu Piastowem. — Za redakcyę odpowiedzialny Wojciech Lenik.

Drukiem W. Lenika w Krośnie.